

Kiedy myślę o Mamie, nie umiem zapomnieć o chwilach tak odległych i niewyraźnych, że tylko niekiedy udaje mi się do nich przeniknąć, bez reszty wejść do ich wnętrza. Wówczas pragnę przegrzebać całe te zamglone obszary, zbadać podskórne pejzaże zmarnowanych dni. Nagle z mroku pamięci wyłania się akordeon, zakurzona pozostałość po ojcu i widzę poprzedni dom, studzienne podwórko, ślepca z rogu ulicy, żebraka wygrywającego smętne melodie, a w kącie, tuż obok muru przystrojonego w zieleń po-trzaskanych butelek, betonowy śmietnik pełen odpadków i szczurów.

I nie ma w tym nic niezwykłego, bo nie panuję nad odruchami; wspomnienia przytłaczają mnie ogromem i różnorodnością, a kiedy się w nich zanurzam, jestem zakłopotany, jak gdybym, nieproszony, wlaźł z bu-ciorami w cudzą intymność. Nie ma, gdyż nazbyt wiele kosztuje mnie pobyt w tamtym świecie. Z tej przyczyny bywam w nim rzadko i raczej niechętnie; gdy wracam do rzeczywistości, trudno mi się po-zbierać. Męczy mnie wtedy krótki oddech, trapią gwałtowne palpacje, a wzrok – nieobecny i przyga-szony - nie pozwala na ponowne pojawienie się w otaczającym świecie. Zwłaszcza, kiedy przypominam sobie rodziców Mamy.

Jeździliśmy tam od wielkiego dzwonu, ale odwiedziny uzależnione były od ich planów i kaprysów; przedtem musieliśmy umówić się na wizytę. Telefonicznie, szczegółowo obgadać jej termin. Co do mi-nuty uzgodnić odpowiedni dzień i godzinę tak, by nie zastać ich w trakcie awantury. Byśmy nie stwier-dzili, jak u nich jest, gdy są bez widowni. Tu powiem, że dla nas pożytek z tego ustalania był żaden, gdyż moje zabawy, jak i Mamy rozmowy, były niczym filipiki niewidomych prowadzone na migi. Punktualnie z rozkładem jazdy przychodziliśmy do ich kamieniczki. Kiedyś należała do dziadka, było to jednak w czasach przed moimi narodzinami. Ale nawet dzisiaj, gdy patrzę na albumy sepiowych fotogra-fii, ściska mnie w gardle i do pewnego stopnia jestem w stanie zrozumieć, dlaczego się rozpił i zgorz-kniał.

Wracam do wizyt. Zaraz po sztucznym i niewylewnym powitaniu w przedpokoju, po wymianie misio-watych zapewnień o wzajemnej miłości i odfajkowaniu cmoknięć, tudzież frenetycznych uścisków, oso-wiała i leciutko naburmuszona babcia, ciężko i z rezygnacyjną ostentacją siadała przy stole masując obo-łały kark. Dziadek wydzielał z siebie jakieś rozkasłane i abstynenckie pomruki, a każde z nas, w milcze-niu, wlepiało wzrok w obojętnie co, w popsutą pozytywkę, w zegar z odważnikami, pochyłe lustro, w którym odbijały się drzwi prowadzące na balkon, w brązowe deski wyszorowanej podłogi.

Podczas owego spektaklu nudziłem się jak mops: czekałem na sygnał, gdy dziadek da mi zajrzeć do ogro-du, by pobiec na łąki za domem, zapodziać się w górach i dolinach porośłych trawiastym piachem, gdy machnie nerwową ręką i zezwoli wypaść na pustą szosę lub znaleźć się na podwórku. Tam, w ogrodzie, tuż za beczką smoły, odzyskiwałem siły. Mogłem, ukryty w konarach wiśni, zajadać jej owoce i bez krępacji rozmyślać o Bóg wie czym, o zbliżającym się wyjeździe na wieś, o czekającej mnie podróży po-ciągiem.

Odprężony, wracałem po paru godzinach i kiedy zanosilo się na wspólne spoglądanie na zegar kurantowo odcharkujący godziny, Mama zaczynała mówić, że na nas już najwyższa pora. Z udanym przestraczem łapała się za głowę i oznajmiała, żeśmy się zasiedzieli. Dochodziło wtedy do obustronnie markotnych se-renad z akompaniamentem dyskretniej ulgi, a ich śladem podążały babcine i dziadkowe pytania o to, kiedy się znowu zobaczymy, a my, zawiedzeni, rozczarowani, broniąc się przed liturgią pożegnań, śpiesznie

wracaliśmy do swojego zacisznego wszędzie dobrze, gdzie nas nie ma.

I tak to trwało, aż dziadek zdziecinniał. Z rzadka pojawialiśmy się u niego. Podobno przestał pić, rzekomo lekarz mu zabronił, z czego najbardziej ucieszyła się babcia, no, a babcia podupadła także; nikt już do nich nie przyjeżdżał, nie założył ze swoim krytykanckim wtrącaniem trzech groszy. Cała rodzinka wydawała się być zajęta pielęgnacją własnych wrzodów, a Mama i ja, byliśmy na etapie godzenia się z odejściem ojca, zapominania jego twarzy, zachowań, dziwnych nawyków do wychodzenia w nocy i jeszcze dziwniejszych powrotów skoro świt, kiedy to rozpromieniony, pochylał się nad moim łóżeczkiem, wesół i szczęśliwy, jak krakowiaczek ci ja.

Ale zacznę od początku, to znaczy od chwili, gdy umarła. Odeszła, kiedy byłem za mały, by się dowiedzieć, czy wyjechał z mojego powodu. Na jej pogrzebie, trzymany przez ciotkę za rękę, myślałem, gdzie i co ze mną będzie. I pragnąłem, żeby trwało jak dawniej, jak wówczas, kiedy miałem pięć lat i byliśmy wszyscy.

Wtedy przyszła mi do głowy plaża. Wędrowaliśmy wzdłuż brzegu, Mama, która nazywała mnie swoim Marcinkiem, ja i jeszcze jakiś fircyk niewart wzmianki. Na horyzoncie, daleko, to znikąca w głębi, to wylaniała się z fal, niepozorna kreseczka statku. Niebo przeczyste, morze posiekane białą roztańczonych mew, spienione grzywami roziskrzeń, ani jednej chmurki, cicho i w słońcu.

Nagle zrobiło się burzowo, sielanka zasnęła się mgłą i wszystkie mewy gdzieś poznikały razem ze swoim zawodzeniem. Rozległ się grzmot, a falami zakołysał wiatr. Na plaży nie było nikogo; właściwie nie powinno to być żadnym zaskoczeniem, bo akurat wówczas, po raz pierwszy poczułem, że jestem sam.

Ale po pogrzebie wróciłem do domu z ciotką, co mnie uspokoiło, wyrwało z niepewności. Zamieszkała ze mną. Jak mi oznajmiła, weszła do domu Mamy, by nade mną czuwać, strzec mojego prawidłowego rozwoju. Ale ja sądziłem inaczej. Mianowicie uważałem, że pojawiła się tu, by odgryźć się za dotychczasowe życie przy rodzinie, wyzwolić z pełnienia roli ubogiej krewnej, pomiatanej i bezużytecznej matrony. Z ciotczyńskich aluzji zrozumiałem, że moja Mama również nie była wobec niej w porządku: też zadzierała nosa i też nie przepuszczała żadnej okazji, by dokuczyć jej za jakieś przewiny z przeszłości. O co im poszło, nie wiem; dysponowałem wyłącznie domysłami. Niewykluczone, że miały do siebie pretensje o mojego ojca.

Zawiodły się na nim obie. Jednej i drugiej obiecywał ożenek, a gdy zorientował się, że Mama dostanie spadek, a ciotka zaledwie wyrazi współczucia, rozpoczął matrymonialną kampanię zakończoną moim rozwrzeszczanym istnieniem, po czym zwiął. To je zbliżyło, a kiedy okazało się, że spadek należy traktować z przymrużeniem oka, bo dziadkowie zbankrutowali, gdy odpelzł nie wiadomo gdzie i do kogo, zostały przyjaciółkami. Miały nawet coś w rodzaju wspólnej depresji z jego powodu, ale wkrótce im przeszła i kombinowały nad powrotem do normalności; jakkolwiek nadal władały nimi problemy z dokonywaniem właściwych wyborów, dylematy z wyodrębnieniem prawidłowych opcji, to przemyślały, czy aby nie rzucić się w wiry i odmęty roboty, w coś z konkretnym sensem, jak życie bez chłopca. Toteż nie mówiły o miłości. Wystrzegały się jakichkolwiek nawrotów do wyznań; temat o kryptonimie uczucie, był dla nich za śliski. Mówiły: jeżeli kochać, to bez zastrzeżeń.

*

Była starszą siostrą Mamy. Wiecznie zatroskaną, mało kontaktową, burkliwą nawet. Starła mi się przedstawić jako wyznawczyni rozsądku i ascezy. Na próżno jednak: przybierając surowe miny, chcąc zrobić wrażenie osoby apodyktycznej, kogoś o ugruntowanych, niezłomnych zasadach, zamiast osiągnięcia celu, jakim byłoby wbicie mi do głowy, że jest pryncypialna i nie żartuje, gdy mówi o moim trudnym charakterze, o przywarach świadczących, że zostałem rozpuszczony przez Mamę i potrzebna mi jest dyscyplina

- rozśmieszała mnie, bawiła, a to z tego względu, że wypowiedane przez nią słowa nie zgadzały się z łagodnym wyrazem jej twarzy i przeczyły uśmiechniętym oczom.

*

W każdym razie kiedy już miałem przeszło dwadzieścia lat, ciotka zmarła. Powoli przygasła. Początkowo czepiała się życia. Z ożywieniem dowcipkowała, jak gdyby chcąc zaprzeczyć biologicznym procesom, uchronić się przed nimi. Żartowała ze mnie i z siebie, opowiadała nieznane fragmenty wydarzeń ze swojej przeszłości, z dzieciństwa Mamy. A jednak: bagatelizując cierpienia i pomniejszając znaczenie ich ataków, z czasem osłabła. Na własnej skórze przekonała się, że nie wystarczy silna wola i upór, by pokonać to, co niszczy. Jeszcze rwała się do robienia śniadań i przepierek, ale widać było że poddaje się, ulega, rezygnuje z fanfaronady. Nie podnosiła się z łóżka i jak przedtem, kiedy byłem mały, chodziła przy mnie, tak teraz ja starałem się o nią troszczyć. Jej spojrzenia coraz częściej matowiały, blakły, nie-ruchomiały; skierowane do wnętrza, rytmicznie i nieubłagane oddalały się od mojej rzeczywistości.

Na miejsce opuszczone przez nią, wskoczył wysportowany, muskularny typek o kryształowych oczach, gość odgrywający przede mną operetkową rolę przeuroczego; ni stąd ni zowąd wynurzył się z niebytu i od progu krzyczał, że jak zwykle nie zdążył. Pozorując zmartwienie z powodu śmierci Mamy, składał mi zaległe kondolencje. Mimochodem przysięgał, że już rozumie, co to rodzina i że o mnie podba. Jednym słowem, tego dnia nastąpił nieoczekiwany powrót marnotrawnego tatusia.

Przyznam, iż podobne zapewnienia działają na mnie odwrotnie. Jeżeli ktoś mi oświadcza, że jest uczciwy, szlachetny czy prawdomówny, z mety mam wątpliwości na temat jego ukrytych intencji, a wietrząc w nich fałsz, rośnie mi gula.

Początkowo zachowywał się niczym komornik: rzucał spojrzenia pełne zadumy, przechadzał się w milczeniu: miarowym krokiem, dostojnie, w zamyśleniu. Cały czas jednak łypał w stronę umeblowania, co wyglądało, jakby chciał dokonać pospiesznych oględzin sprzętów, sufitów i okien.

Czułem, że z każdą następną chwilą był do mnie coraz przyjaźniej usposobiony. Jak gdyby w moim spojrzeniu dojrzał coś w rodzaju chwiejnego oczekiwania, czy mimowolnej nadziei; i to go ośmieliło, roz-zuchwaliło, dodało pewności siebie: wtedy już napastliwie, niemal bezwzględny tonem zażyczył sobie, by tytułować go tatusiem. Jednakże było to nieporozumienie, bo choć nie mogłem przestać go kochać, wciąż i nadal dostrzegać w nim kogoś bliskiego, to przecież tkwiąca we mnie zadra sprawiała, że wo-lałem nie zwracać się do niego w ten sposób.

W zamian mówiłem mu Stary. Stary, należało do określeń bezpiecznych, neutralnych, poniekąd bezoso-bowych. Zdecydowanie, gdyż tatuś nie pasowało do drania, który mnie olał. Lecz gdy zrobił mi solidną awanturę wspartą łubu-du i kiedy zaczął ciskać we mnie czym popadnie, poszedłem na kompromis: na-tychmiast uderzyłem w pokorne, lamentacyjne, czołobitne tony okazując mu gwałtowny szacunek; po-cząłem go wielbić z opętańczym zapalem, w wiebogłosy wychwalać, przedkładać nad wszystkich zna-nych i nieznanych ojców z osiedla. Wszelako w moim ojciecze pobrzmiwały nutki drwiącej służalczości.

*

Po kwadransie westchnięć i oburzonych min oświadczył, że zamieszka w pokoju po ciotce. Z nadmierną pompą w głosie powiedział, że niebawem sprowadzi bagaże, a jak przyjdą, zabierze się za dokończenie dzieła swojego życia; lecz choć wyteżalem pomyślunek, za nic nie mogłem zrozumieć, o jakim dziele truł i o czym ono będzie.

Pokój ciotki był największy ze wszystkich trzech; z logią i windą do nieba. Przez tydzień, który przezna-

czył na zaprowadzenie w sobie duchowej aklimatyzacji, z pokoju dobiegały mamroczące odgłosy, a ja nie miałem pewności co słyszę, bo prócz Ojca, nie było tam nikogo.

*

Początkowo z entuzjazmem, a później z odrazą, wstawał razem z kurami; gdy na zewnątrz panowała szarość i rozlegał się stukot butelek z mlekiem. Słyszałem szklane hałasy śniadaniowych talerzyków, a po drugiej stronie ulicy widziałem otwieranie okien. Na parapety wykładano pościel do wywietrzenia i wówczas unosił z wyra opasłe dupsko. Po czym wybiegał, gnał przed siebie, jak gdyby wiedząc, dokąd, ale przypuszczam, że jego celem nie była ucieczka w konkretne miejsce, lecz samo błądzenie po bezdrożach.

Kiedy pokój zamieszkiwała Mama, a potem ciotka, zjawiałem się w nim często. Teraz – nie. Nie, gdyż zamykał go na klucz. Co gorsza, jak był w domu, nie pozwalał mi zaglądać do środka. Jednak pewnego dnia, wychodząc, zapomniał o drzwiach, więc zajrzałem. Odkryłem w nim skład kolorowych świerszczyków ze zdjęciami do oglądania w odosobnieniu, a kiedy się po nim rozejrzałem dokładniej, stwierdziłem, że jest to teraz rupieciarnia, mroczna i smrodliwa pieczara, regularnie nie wietrzone rumowisko przedmiotów o zagadkowym przeznaczeniu, sterty porozwalanych gazet i szpargałów wsadzonych byle gdzie, a zamiast firanek, zawieszonych jeszcze przez ciotkę, jasnych zasłon budzących pogodne skojarzenia, na oknie zobaczyłem poplamioną szmatę o wyglądzie koca.

Pocieszało mnie, że Ojciec, wychodząc z domu, przez kilka godzin włóczył się po ulicach, by wrócić tak samo bez uprzedzenia, mogłem więc choć przez moment zapoznawać się z zawartością jego wysypiska. Jednak nie znalazłem w nim niczego godnego uwagi; w przeważającej i demonicznej liczbie nie były to pisma fachowe, profesjonalne i niezbędne do pracy jego życia, ale papierowe rupiecie upstrzone notatkami, które prędkiej mógłbym znaleźć w składnicy makulatury, niż u człowieka, który odgrażał się, że dokonano czegoś wiekopomnego. Co było zgrzytem, ewidentnym dysonansem: jakby w trakcie prelekcji o Bizancjum przerwano referentowi, by zacząć przewleklą i nieskończoną dyskusję o doprawianiu sałaty, wobec czego stwierdziłem, że zanim doszedł do rozumu, pokręciły mu się synapsy.

Lecz gdy już poczęło mi się wydawać, że go rozszyfrowałem i jest, jak inni, hipokrytą, gdy, od niechcenia, zacząłem przeglądać jego zbieraninę, w jakimś tygodniku z krzyżówkami znalazłem listy do Mamy. A właściwie – przymiarki do nich, urywki luźnych stroniczek z opisami zdarzeń. Odręczne, ciężko czytelne, miały coś wyjaśnić lub do czegoś przekonać, lecz ani nie przekonywały, ani nie wyjaśniały, przeciwnie, wprowadzały mnie w stan rozgoryczenia, bo w chwilach wertowania zastanawiałem się nad sobą, a czas wierzenia w ludzką chwałę przestawał być niepodważalnym zestawem dogmatów, zbiorem praw i reguł skazujących mnie na przestrzeganie uniwersalnych norm. Przedstawiany za ich pośrednictwem świat, tajemniczy, jak ludzki portret skłębionych namiętności, raz jawił mi się dostępną i gładką przestrzenią, to znowu innym razem - ślepym i mało rzeczywistym potokiem skondensowanych emocji; słowa były dowolnie poutykane w szczerby spóźnionej modlitwy.

Droga!

Tęsknię za Tobą, jednak masz mnie gdzieś i weinasz te swoje zielone winogrona, a choć nie oczekuję odpowiedzi, to przecież trochę mi ich brak.

Napisałem, że nie są konieczne, bo sam wiem, co znaczą czasowe deficyty. Zdaję sobie sprawę, że nie sposób jest, mając rozliczne i terminowe sprawy, odpowiadać na każdy. Z tego to powodu napisałem, co napisałem, ale byłoby przyjemnie wiedzieć, że dochodzą. Chociaż może nie jest to aż takie ważne, byś odpowiadała i jak zwykle za wiele chciałbym... Mimo to będę nadsyłał; przeczytasz, bądź nie i odpowiesz,

lub też nie. Choć fajnie by było dostać wiadomość zamiast przypuszczeń.

A pomyśl, że być może czymś Cię obraziłem, jest moim stałym przekleństwem i nic na to nie poradzę; ilekroć ktoś za długo milczy, zaraz mam w głowie zamęt i uruchamiają się skrupuły. Jakkolwiek w naszym przypadku to ja za długo byłem niemową. Zbyt późno zauważyłem, że powinienem od razu do Ciebie wrócić i na nowo poznać Marcinka. Lecz się stało: odszedłem, czego żałuję. Ze skruchą dodam: gdy byliśmy razem, naiwnie sądziłem, że szczerość absolutna, pozbawiona elementów tajemnicy, intymności, to szczerość wydana na pastwę ludzi wrogich, bezinteresownie zawistnych, chcących splugawić, zohydzić, ośmieszyć każdą myśl przekraczającą ich skarłatą rozum. Teraz już wiem, że składam się nie tylko z podczytywania Jaspersa lub Fromma. Składam się także z niezadanych pytań: o Twoje zdrowie, co macie na obiad, skąd pożyczyć do pierwszego i jak ustrzec się przed waszą nieobecnością.

Za późno zrozumiałem, że są dwie filozofie. Jedna, to poziom wyższy. Pascal, Einstein i im podobni. Oraz druga: pogardzana, szara, przeciętna. Ta druga, to doświadczenie nazywane mądrością życiową. A obie są ważne i równorzędne. Wierzę w powroty utraconych rajów; jeżeli zdarzy się piekło znieczulenia i będziemy poza sobą równie szczęśliwi jak teraz, pamiętaj, że "teraz" będzie bez naszego udziału, gdyż nie można rozłączyć tych, co są nierozłączni.

Przyzwyczajeni do rytmu znanych spraw, fatalnie czujemy się bez nich; mamy pretensje o to, że ktoś lub coś pokroił nasz tort z losu na niesprawiedliwe porcje; niekiedy jest przyjemny, często zaś okazuje się słodką omaszczoną keczupem. Złudzenie: podzielił go nie ktoś lub coś, ale CZAS. To on jest złodziejem, oszustem, przენiewiercą, to od niego otrzymujemy nie te kawałki losu. Inne, lecz jakże na miarę naszych możliwości. Ty dostałaś Marcina, ja samotność bez was. Wybacz mi więc, że musieliśmy się rozstać; z czasem nie powinienem się spierać, bo nie on mnie otumaniał, ale zły punkt widzenia. No, dosyć moralizowania. Jak się zdobęde na odwagę, to resztę Ci dopowiem po przyjeździe.

Z duszą na ramieniu, wystraszony jego niespodziewanym powrotem i chrobotaniem kluczy w drzwiach, odłożyłem list na miejsce, wybiegłem z pokoju chowając się szybciotko w drugim. A kiedy już byłem bezpieczny, przyszło mi do głowy, że nawet on zasługuje na zawieszenie kary, więc zacząłem ćwiczyć się w czułym wypowiadaniu słowa tatuś.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

OWSIANKO, dodano 10.10.2020 14:17

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.